



STANISŁAW RACZYŃSKI

Warszawa, 9 kwietnia 1946 r., Sędzia Sądu Apelacyjnego w Warszawie Stanisław Rybiński, delegowany do Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka bez przysięgi, w trybie art. 107 KPK, przy czym świadek został pouczony o obowiązku mówienia prawdy oraz o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania i następnie zeznał:

Imię i nazwisko	Stanisław Raczyński
Data urodzenia	20 kwietnia 1884 r.
Imiona rodziców	Jan i Marianna z Ambroziaków
Zajęcie	robotnik
Wykształcenie	czyta i pisze
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Wolska 109 m. 5
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany

W momencie wybuchu powstania, 1 sierpnia 1944 roku, mieszkałem razem ze swoją rodziną w domu numer 143 przy ul. Wolskiej.

5 sierpnia Niemcy weszli na nasze podwórze w liczbie kilkunastu, a kilku weszło do naszego domu i kazali wychodzić. Wielu sąsiadów z naszego domu posłuchało tego rozkazu, ale ktokolwiek z nich pokazał się na podwórzu, zaraz otrzymywał strzał w głowę i walił się na ziemię. Znajdując się w swym mieszkaniu, zauważyłem to i zdecydowałem się nie spieszyć.

Przy mnie w naszym mieszkaniu parterowym mającym dwa okna – jedno okno na ulicę, a drugie na ogród, była zgromadzona część mojej rodziny, składająca się z żony i córki

mej z mężem i dwojgiem dzieci. Prócz tego był też w moim mieszkaniu sąsiad Kamiński. W ogrodzie przylegającym do mieszkania był mój syn Stefan (lat 19).

Widząc, że Niemcy, a jeszcze więcej towarzyszący im Ukraińcy w niemieckich mundurach, zabijają wszystkich wychodzących na podwórze, strzelając im w tył głowy, zamknąłem się w mieszkaniu i czekałem, co dalej będzie. W końcu Niemcy zaczęli chodzić po mieszkaniach i wypędzać z nich ludzi.

Jeszcze przed tym, gdy wyjrzałem przez okno zamknięte, wychodzące na ulicę, jakiś żołnierz to zauważył i wystrzelił do mnie. Kula przebiła szybę i utkwiała w suficie.

W końcu Niemcy, wypędzając innych lokatorów z mieszkań, podeszli pod drzwi mego mieszkania. Ja drzwi nie otwierałem. Oni sami drzwi wywalili. Wpadło do mieszkania aż czterech drabów w mundurach żołnierzy niemieckich i nacelowali na nas karabiny. Zanim oni wpadli do mieszkania, żona wyskoczyła oknem na ogród. Żołnierze kazali nam wychodzić. Umiejąc trochę mówić po niemiecku, tłumaczyłem się, że nie posłuchałem rozkazu wychodzenia, bo się bałem. Jeden z żołnierzy – Niemiec – zrozumiał mnie i był względniejszy, drugi – Ukrainiec – wciąż zachodził od tyłu, chcąc mnie wykończyć jak tylu innych, strzelając w tył głowy. Zrozumiawszy jego intencję, starałem się odwracać do niego twarzą. Zgodnie z postawionym nam przez Niemców żądaniem wyszliśmy z mieszkania.

Gdy już byliśmy na podwórzu, córka moja Zofia Mikołajczyk (mająca wówczas lat 32) razem z dwojgiem dzieci swoich – Teresą lat 4 i Wiesławem lat 2, skręciła z podwórza na ogród. Niemcy pilnujący nas, tj. mnie, zięcia Wacława Mikołajczyka i Romana Kamińskiego, pozwolili córce się oddalić i do niej nie strzelali. Niewątpliwie z nami trzema Niemcy postąpiliby tak samo jak z wielu naszymi sąsiadami, tj. zastrzelili by nas, gdyby nie to, że jak tylko wszyscy znaleźliśmy się na podwórzu i zaczęliśmy żołnierzom perswadować, by nas nie strzelali, nadjechał oficer niemiecki w aucie, zauważył nas i wysłuchawszy naszych wyjaśnień, zabronił żołnierzom nas zabijać i kazał nam grzebać zwłoki ludzi zabitych, których przeszło stu leżało na naszym podwórzu, a na chodniku jeszcze więcej.

Zgodnie z tym żądaniem zaczęliśmy znosić ciała zabitych z podwórza i ulicy do znajdującego się w pobliżu naszego domu parku Sowińskiego. Tak zeszło do wieczora. Wówczas znów nadjechał ku nam [ten sam] co poprzednio oficer i kazał na noc odprowadzić nas do kościoła św. Wawrzyńca.



Nazajutrz spotkałem w kościele moją żonę i tegoż dnia, 6 sierpnia pod wieczór, popędzili nas piechotą do Pruszkowa. Stamtąd mnie, żonę i zięcia wywieźli na roboty do Wrocławia.

Później zatrudnili mnie i żonę w fabryce Primkenau, dokąd jechaliśmy trzy godziny samochodami. Zięć pozostał we Wrocławiu, Kamiński też.

W fabryce amunicji w Primkenau pracowaliśmy razem z żoną od 10 sierpnia 1944 do 9 lutego 1945 roku. Musieliśmy nosić literę „P” na ubraniu. Obchodzenie się jednak z nami było znośne, tyle tylko, że odżywianie bardzo skąpe.

W czerwcu 1945 roku powróciliśmy z żoną do Warszawy, zięć wrócił dwa dni wcześniej. Kamiński też powrócił.

Niema dotąd ani syna Stefana, ani córki Zofii Mikołajczykowej z dziećmi.

Nie wiem nic, co się z nimi stało.

Druga córka, Helena Bączek, która mieszkała wraz z mężem swoim przy Działdowskiej 3 też zaginęła, jak i jej mąż.

Natomiast powrócili z Niemiec, wywiezieni po łapance ulicznej na roboty przymusowe, dwaj starsi synowie moi, Józef i Władysław. Józef był wywieziony w 1940, a Władysław w 1942 roku.

Ogółem z mieszkających w naszym domu ludzi Niemcy 5 sierpnia 1944 roku zabili przeszło stu, w tej liczbie były kobiety i dzieci.

Odczytano.